

KS. JANUSZ TARNOWSKI

ROLA DZIECI W DIALOGU HOMILETYCZNYM

W ogłoszonym ostatnio *Dyrektorium o Mszach św. z udziałem dzieci* czytamy: „Homilia skierowana do dzieci niekiedy będzie przechodzić w dialog z nimi, chyba, że lepiej jest, aby dzieci słuchały w milczeniu ... (nr 48) oraz: „... (dzieci) odpowiadają podczas homilii... (nr 22)¹.”

Cytowany dokument stanowi moment przełomowy zarówno dla rozwoju liturgii, jak dla pedagogiki chrześcijańskiej. Dziecko zostało bowiem dowartościowane jako pełnoprawny uczestnik zgromadzenia liturgicznego, podkreślono jego godność i właściwe miejsce w Kościele².

Ale powstaje pytanie, czy duszpasterze skorzystali z możliwości, jaką daje ów dokument, by „przechodzić w dialog” i czy dzieci rzeczywiście „odpowiadają podczas homilii”?

Otóż wydaje się, że chociaż gdzieś prowadzi się bardzo interesujące dialogi homiletyczne z dziećmi³, to bodaj znaczna większość kaznodziejów jest zdania, że lepiej, „aby dzieci słuchały w milczeniu”.

Takie stanowisko budzi jednak wątpliwości. Zachodzi bowiem poważna obawa, że w tradycyjny sposób wypowiedzane homilie, kazania i konferencje, po prostu nie docierają do naszych dzieci. Dlaczego? Jedną z przyczyn są szybkie i poważne przemiany, jakim podlegają obecnie całe społeczeństwa, a więc także i najmłodsze pokolenie. Zdawanie sobie sprawy z kierunku tych przeobrażeń jest duszpasterską koniecznością. Ale to nie wystarczy. Niezbędne się staje dokonanie, odpowiednio do znaków czasu, zasadniczej korekty w naszej postawie. Wtedy dopiero będzie można w prawdziwym dialogu odnaleźć trafiającą do współczesnego dziecka metodę homiletyczną.

I. DLACZEGO DIALOG I JAKI?

1. Przemiany dziecka dzisiaj

Nie może być tu oczywiście miejsca na dokładniejszą analizę wszystkich przemian, jakie zachodzą dzisiaj u dzieci w wieku przedszkolnym oraz będących w kl. I—IV. Musimy więc poprzestać na wyliczeniu kilku zjawisk najbardziej dostrzegalnych, rzucających się po prostu w oczy.

a) Jednym z nich jest akceleracja, czyli przyspieszenie rozwoju umysłowego dziecka⁴. Codzienne mianowicie obserwacje wykazują, że dzieci coraz częściej używają języka ludzi dorosłych, zaskakują otoczenie bystrością swych obserwacji i dojrzałością uwag, a nawet wydają się nie-

¹ Św. Kongregacja Kultu Bożego, *Dyrektorium o Mszach św. z udziałem dzieci*, Wiadomości Archidiecezjalne Warszawskie 47 (1977) nr 3—4, 65—80.

² Ks. J. Tarnowski, *Język modlitwy liturgicznej a język dziecka*, Ruch Biblijny i Liturgiczny 30 (1977) nr 2—3, 134—135 (cały numer poświęcony omówieniu *Dyrektorium*).

³ Ks. J. Tischner, *Kilka uwag na temat Mszy św. dla dzieci przedszkolnych*, *Katecheta* 18 (1974) nr 3, 120—123.

⁴ Akceleracja, w: W. Okoń, *Słownik pedagogiczny*, Warszawa 1975, 13—14; R. Dollase, *Retardierung*, w: G. Wehle (red.), *Pädagogik aktuell*, t. 1, München 1973, 156—7.

kiedy górować nad starszymi trafną oceną różnych sytuacji życiowych. Czemu przypisać tego rodzaju fakty?

Mnożąca się wciąż liczba jedynaków, którzy w domu rodzinnym skazani są prawie wyłącznie na towarzystwo starszego pokolenia, wchłanianie przez dzieci spektakli kinowych, telewizyjnych oraz audycji radiowych adresowanych do dorosłych, osłabienie dynamiki organizacji dziecięcych — oto niektóre z przyczyn.

Charakterystyczne jest również, że młodsze dzieci, jeśli mają starszego o kilka lat brata lub siostrę, starają się za wszelką cenę „zaawansować” do ich towarzystwa, odwracając się od własnych rówieśników i rozrywek właściwych swemu wiekowi.

W ten sposób dziecko dzisiejsze zaczyna gubić coś bardzo cennego, a mianowicie własne dzieciństwo, przedwcześnie wchodząc w świat dorosłego człowieka.

Dane mi było obserwować żyjące ze sobą na stopie wojennej rodzeństwo: 16-letnią dziewczynę i młodszego od niej o 6 lat chłopca. Na podstawie pewnych przejawów w zachowaniu się dziesięciolatka postawiłem hipotezę, że przyczyną „wojny” jest jego zazdrość o kolegów i koleżanki starszej siostry. Gdy dopuściła ona braciszka do udziału w towarzystwie swych rówieśników, zakończyły się nieporozumienia między rodzeństwem i nastał domowy spokój.

Sygnały o podobnych sytuacjach dają się często słyszeć. A zatem stwierdzenie Winfrieda Blasiga⁵ o gotowości dziecka do dialogu, także podczas zgromadzenia liturgicznego, można uzupełnić przypuszczeniem, wiele dzieci szczególnie chętnie wejdzie w rozmowę właśnie z dorosłym, a nawet odczuwa potrzebę takiego kontaktu.

b) Z akceleracji dzieci współczesnych wynika całkiem szczególne zjawisko, a mianowicie dążenie do autonomii nawet we wczesnym wieku dziecięcym. Tego rodzaju tendencji nie da się wytłumaczyć tzw. wiekiem przekory, który łączy się zwykle z trzecim rokiem życia i powraca w okresie młodzieńczym w związku z odkrywaniem własnego „ja”. Pragnienie autonomii u dziecka dzisiejszego jest raczej odzwierciedleniem nastawień panujących w społeczeństwie, w którym wolność (często opacznie rozumiana) stała się fetyszem. Inna sprawa, że człowiek tak chętnie mówiący o wolności, bardzo często nie posiada własnych przekonań, będąc niewolnikiem obiegowych opinii, ukształtowanym przez środki masowego przekazu⁶.

Kiedy niedawno pytałem ministrantów w wieku 10—12 lat, w jaki sposób można pomagać im, by służyli do Mszy św. nie ze względu na jakąś nagrodę czy sankcję, ale z miłości do Boga, otrzymałem odpowiedź: Wszelka pomoc jest zbędna. Jeśli ktoś sam do tego nie dojdzie, nie pomoże mu nikt.

10-letniego chłopca, który to mówił, poparło wielu kolegów. Jeden z nich dodał: Księżu słuchamy z uprzejmości, rodziców ze znudzeniem, a myślimy swoje. Wyczuwało się wyraźnie, że zebrani chłopcy bronią się przed wszelkim narzucaniem, a jeśli nawet przyjmą coś, to często bez wewnętrznego przekonania.

⁵ W. Blasig, *Die Predigt für Kinder*, w: *Verkündigung an Kinder* (R. Sauer, red.), Zürich 1972, 45.

⁶ T. K. Sznajderski, *Alberta Schweitzera obraz człowieka*, Novum 1977, nr 10, 66—67.

Oczywiście tego rodzaju obserwacji nie wolno pośpiesznie uogólniać ale wydaje się, że jeśli pragniemy, by podawane treści zapuściły głębsze korzenie w dziecku dzisiejszym, trzeba z nim koniecznie wejść w rozmowę.

c) Dziecko współczesne „zaraża się” również inną cechą dorosłego świata, a mianowicie nadmiernym obciążeniem psychicznym, i co za tym idzie, nieumiejętnością koncentracji.

Przy pomocy bowiem mnóstwa kanałów różnorodne treści docierają do nas z całego świata. Wskutek więc niemożności przetrawienia i selekcji obfitych materiałów osłabiają się możliwości recepcyjne człowieka i dochodzi do stanu otępienia oraz zaniku wrażliwości na nowe bodźce. Dlatego powstaje głód silnych wrażeń, dreszczowców, sensacji. Jeśli takie procesy mają miejsce u ludzi dorosłych, w daleko większym stopniu dotyczą one dzieci i nadwężają słabą ich psychikę. Dość wspomnieć o „chorobie telewizyjnej”, spowodowanej wielogodzinnym oglądaniem przez dziecko widowisk, które rozbudzają wyobraźnię, szarpią nerwy, powodują zamęt moralny.

Nic więc dziwnego, że dzieci nie są w stanie skupić uwagi przez pewien nawet czas, jeśli dany przedmiot daleki jest od ich zainteresowań. Ilustracją takiego stanu rzeczy stanowi zjawisko „duchowych wagarów”. Uczeń jest mianowicie obecny, siedzi w ławce szkolnej podczas lekcji, ale w rzeczywistości znajduje się w całkiem „innym wymiarze”. Stąd biorą się narzekania dzieci i młodzieży na monotonię naszych nabożeństw. A znudzenie się sprawami Bożymi może stać się pierwszym krokiem do utraty wiary. Trudno się dziwić, że wobec tego rodzaju uwarunkowań często nie mogą dotrzeć do współczesnego dziecka kazania i katechezy. Wejście w dialog nie rozwiąże oczywiście tak trudnego problemu jak zainteresowanie dzieci Bogiem, ale przynajmniej stać się może jakąś pomocą dla nich i dla nas.

2. „Dialog” i dialog

Przeobrażenia, którym podlega współczesny świat, a w nim także dzieci, zmuszają do intensywnego poszukiwania nowych sposobów trafienia do człowieka. W trosce o skuteczność głoszonego Słowa rozwinęli bogatą pomysłowość również homileci, proponując wiele nowych form kaznodziejskich⁷. Dają się nawet słyszeć głosy, przestrzegające przed zbytym wyszukiwaniem zewnętrznych kształtów orędzia zbawienia, ponieważ mogłoby to zaćmzić jego treść oraz charakter sakralny⁸. Zapewne, pierwsze miejsce musi zajmować zawsze odpowiedź na pytanie „co?” a drugie dopiero na pytanie „jak?” Ale w dzisiejszych, desakralizujących się czasach, jeśli nie docenimy ważności wzajemnego kontaktu ze słuchaczem, nasze mówienie sakralne skierowane będzie do duchowo nieobecnych. Dlatego problem dialogu zyskuje rangę jednego z najważniejszych. Ograniczamy się na razie do dzieci, co nie oznacza bynajmniej, by dorosłym odmawiać roli partnerów w dialogu homiletycznym.

⁷ F. Jantsch, *Man kann auch anders predigen*, Freiburg 1970; W. Nastajczyk, *Predigten für Kinder mit Kinder*, Würzburg 1975; Ks. A. Lewek, *Możliwości urozmaicenia form kaznodziejskich*, *Homo Dei* 40 (1975) nr 3, 199—201.

⁸ Ks. W. Wojdecki, *Homilia do dzieci w świetle Dyrektorium o Mszach z udziałem dzieci*, *Wiadomości Archidiecezjalne Warszawskie* 47 (1977) nr. 8—9, 226.

a. „Dialog”

Dialog w cudzysłowie, to dialog pozorny, sformalizowany. Termin ten bywa używany tak często, że „sprostytuował się” i służy do określania czysto zewnętrznych, powierzchownych zetknięć między ludźmi, a niekiedy stanowi nawet przykrywkę dla aktów przemocy⁹.

Przejdźmy na teren homiletyczny. Jakie przemówienie do dzieci, podczas którego zabierają one głos, jest dialogiem pozornym?

Otóż nie zachodzi prawdziwy dialog wtedy, gdy stosuje się jedynie jego technikę, tzn. schemat: pytanie — odpowiedź. Dlatego np. sformułowania katechizmowe nie zasługują na nazwę dialogu.

Również wszelkie egzaminy i przepytywania zwykle dalekie są od prawdziwego dialogu, chyba że próbuje się im nadawać nietypowy charakter, co spotyka się bardzo rzadko.

A zatem homilia, w której kaznodzieja sprawdza, czy dzieci uważnie słuchały dopiero co czytanej ewangelii, pytając o jej szczegóły, nie może pretendować do miana dialogu. Podobnie ma się rzecz ze stawianiem podczas homilii pytań dotyczących wiadomości zdobytych na katechizacji. Dzieci mogą nawet obawiać się tego rodzaju powtórek, chowają się więc po kątach kościoła, a nawet wołać przychodzić na inną Mszę św., kiedy czuć się będą bardziej bezpieczne. Zresztą homilia traci wtedy swój charakter, staje się lekcją i to według starego, przebrzmiałego stylu.

Podobnie bywa, gdy kaznodzieja zmusza do „dialogu” dzieci, które nie są wcale skłonne do mówienia. Nic dziwnego, że zagrożone kompromitacją publiczną, woła już raczej słuchać „prawdziwego” kazania.

Nie ma również dialogu, gdy dzieci rzucają banalne odpowiedzi, których — w ich przekonaniu — ksiądz od nich oczekuje. Np. na pytanie: „Jak wyrazimy miłość do Pana Jezusa?” odpowiada się bezmyślnie: „Trzeba się modlić”. „Chodzić do Komunii”. „Spełniać dobre uczynki” itp.

Także chóralne stereotypowe reakcje na retoryczne zwroty kaznodziej-skie (np. „Na pewno chcecie być dobrzy dla rodziców i wszystkich ludzi?” — „Taaaak”) trudno nazwać dialogiem.

Ogólnie można zatem powiedzieć, że jeżeli kaznodzieja nie zamierza niczego dla siebie nowego dowiedzieć się od dzieci, a dąży raczej do podawania im bądź nowej treści, bądź utrwalania starej przy pomocy pytań i odpowiedzi, dialog jeszcze nie został rozpoczęty.

b. Dialog

Czymże jest więc dialog rzeczywisty, bez cudzysłowu? Jego pełne, głębokie rozumienie sięga samych korzeni istoty ludzkiej. Już J. H. Newman twierdził, że człowiek może o tyle stawać się sobą, o ile wykracza poza samego siebie i wchodzi w relację z kimś innym. Według wielu filozofów współczesnych, z M. Buberem i E. Mounierem na czele, osobę ludzką można określić jedynie przez odniesienie jej do drugiej osoby¹⁰.

Winfried Blasig zwraca uwagę na rozróżnienie wprowadzone przez M. Bubera między dialogiem technicznym a rzeczywistym, który zachodzi wtedy, gdy współpartnerzy prawdziwie ujmują się wzajemnie w swej

⁹ J. Lacroix, *Dialog a przemoc*, Chrześcijanin w świecie 1974, nr 2, 6—7.

¹⁰ Ks. J. Tarnowski, *Spotkanie z Bogiem jako zasadniczy kierunek wychowania chrześcijańskiego*, Collectanea Theologica 43 (1973) nr 2, 52.

istocie i zmierzają do ukonstytuowania obopólnej relacji¹¹. Tak rozumiany dialog, w doskonały sposób zachodzić może jedynie między osobami Trójcy Świętej. Ojciec, wypowiadając sobie, całkowicie oddaje się Synowi, a słowo w pełni powierza się Ojcu. Przedmiotem zaś i podmiotem tej jedynej relacji jest Duch Święty¹².

Jak na tym niebotycznym tle zarysowuje się dialog homiletyczny z dziećmi?

Opiera się on na założeniu, że między człowiekiem dorosłym a dzieckiem zachodzi możliwość obustronnego bogacenia się i pomagania sobie w rozwoju. To znaczy, że nie tylko my posiadamy coś ważnego do przekazania dzieciom, ale również one nam. Postawa dziecka służyć może przecież jako wzór dla dorosłych w myśl jednoznacznych słów Zbawiciela: „Zaprawdę, powiadam wam: Kto nie przyjmie królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego” (Łk 18,17).

Ostrzeżenie Jezusowe nie traci bynajmniej swej aktualności wobec kaznodziei. Głosi on dzieciom Dobrą Nowinę, dzieli się z nimi swym doświadczeniem i wiedzą, czym je oczywiście przewyższa. Ale dzieci mają mu też wiele do zaofiarowania: spontaniczność i prostotę wiary, pokorę i ochoce posłuszeństwo Bogu, świeżość uczuć i tyle innych zalet, o których tak pięknie pisał Janusz Korczak. Sporządził on dokładny bilans wad i zalet ludzi dorosłych, zestawiając je z dziećmi i doszedł do smutnego dla nas wniosku: „Czy każdy wygra, grając z dzieckiem w szachy?”¹³.

Ale nie tylko pod względem postawy moralnej i religijnej dialog z dzieckiem wzbogaca dorosłego. Świat dziecka mimo wszelkich procesów akceleracyjnych ma charakter specyficzny i stanowi coś odrębnego. Trudno przekazać dziecku cokolwiek, jeśli nie będzie się w pewnym przynajmniej stopniu obywatelem jego świata. I znowu weźmy lekcję od Korczaka, który umiał wcielić się niejako w dziecko, co symbolicznie ukazał w swoim opowiadaniu pt. „Kiedy znów będę mały”. Używając mianowicie fikcji literackiej, autor stał się na powrót chłopcem, chodził do szkoły i przeżywał tak wiele przykrości a nawet cierpień, że jego największym pragnieniem było wrócić znowu do dorosłego życia¹⁴.

Wreszcie o jednej jeszcze roli dialogu z dziećmi nie wolno zapominać. Jego mianowicie celem jest także współpraca człowieka doświadczonego z zaczynającym dopiero życiowy bieg nad wprowadzaniem Dobrej Nowiny w konkretne sytuacje. Obydwaj są bowiem niedoskonałymi uczniami Chrystusa, którego odkrywać mogą i powinni stale od nowa i obdarzać się wzajemnie swoimi doświadczeniami. Taką zaczątkową próbę chciałbym właśnie ukazać, poddając ją krytyce czytelników.

II. PRÓBA DIALOGU TRÓJFAZOWEGO

Gdy mówimy o dialogu homiletycznym z dziećmi, mamy zwykle na myśli jedynie ich aktywny udział podczas samej homilii. Trudno zaprzeczyć wartości takiemu dialogowi, ale brak mu czegoś bardzo ważnego,

¹¹ W. Blasig, *Dialog statt Predigt?*, Theologisch-praktische Quartalschrift 125 (1977) nr 1, 50.

¹² Y. Raguin, *Drogi kontemplacji*, Paris 1972, 91.

¹³ J. Korczak, *Prawo dziecka do szacunku*, Warszawa — Kraków 1948, 42.

¹⁴ Tenże, *Kiedy znów będę mały*, W: *Wybór pism*, t. 2., Warszawa 1958, 301.

a mianowicie wspólnego z dziećmi przygotowania homilii oraz narady, jak treść jej wcielać w codzienne życie.

Tak więc dialog nasz obejmowałyby trzy fazy: przed homilią, podczas homilii i po homilii. Ukażemy ten proces na dwu przykładach, które już przeszły życiową próbę. Pierwszy z nich dotyczy centralnego problemu chrześcijaństwa: postawy wobec „maluczkich”, czyli krzywdzonych, wyśmiewanych, poniżanych. Drugi problem jest wzięty z codziennego życia szkolnego: lizusostwo.

1. Przed homilią

Wolfgang Bartholomäus również wyraża przekonanie, że homilia dialogowa powinna być przygotowana wspólnie ze słuchaczami. Widzi on m. in. następujące możliwości: rozmowa po Mszy św., wykorzystanie refleksji napisanych przez uczestników Liturgii po jej zakończeniu, przygotowanie wywiadu lub inscenizacji, co może stanowić wstęp do homilii¹⁵.

W moich doświadczeniach poprzestawałem na ustnych wypowiedziach dzieci. Miały one miejsce przede wszystkim podczas tzw. rady ekspertów. Powstała ona „z ogłoszenia”. Mianowicie przez dwie kolejne niedziele (19. i 26.9. 1976) mówiłem przed błogosławieństwem mszalnym i rozestaniem w taki mniej więcej sposób:

Dawno już ukończyłem szkołę podstawową, do przedszkola nigdy nie chodziłem. Dlatego bardzo proszę dzieci ze szkoły podstawowej, a także przedszkolaków, o pomoc w przygotowaniu niedzielnych homilii, aby były one powiązane z życiem. Dziś po Mszy św. można zapisywać się na „ekspertów”. Będą oni mówili, jak żyje się w podstawówce czy w przedszkolu. Co pewien czas zaproszę ich na wspólne narady.

Zgłosiło się sześciu chłopców i dwie dziewczynki, przeważnie z klas III—IV. Ponadto poprosiłem jeszcze czworo innych dzieci, które kiedyś poznałem jako dobrych obserwatorów życia. A zatem na liście ekspertów znalazło się 12 osób. Spotkania odbywały się co tydzień. Lista chętnych była otwarta, stale przybywali „nowi”. A oto przebieg dwu narad, które posłużyły jako baza do odpowiednich homilii.

a. Dzieci osamotnione?

Na spotkaniu (30. 09. 1976) było 4 chłopców: jeden z VII klasy, pozostali z V. Ponieważ w najbliższą niedzielę zaczynamy Tydzień Miłosierdzia, stawiam zebrany pytanie: Czy u was w klasie są dzieci osamotnione, od których koledzy się odsuwają, a może ich też wyśmiewają?

Otrzymuję bardzo wiele informacji. Krzysiek mówi o koleżance „śmierdzącej”, z którą nikt nie chce siedzieć. Piotrek wspomina o wykpiwanych ogólnie „ofermach” klasowych. Szczególnie ciekawa jest wypowiedź Pawła. W jego klasie był pewien nieulubiany chłopiec. Miał on dość zaniedbany wygląd zewnętrzny, pachniało od niego czadem, bo brakowało w jego domu centralnego ogrzewania i palono w piecu. Sytuacja zmieniła się bardzo, gdy jeden z kolegów opisał go w wypracowaniu pt. „Mój kolega ze szkolnej ławki”. Kiedy to wypracowanie było czytane w klasie, dzieci nie domyślały się na razie, o kim mowa.

¹⁵ W. Bartholomäus, *Kleine Predigtlehre*, Zürich 1974 (zob. rec. Ks. J. Tomczak a SJ, *Collectanea Theologica* 45 (1975) nr 4, 248—9).

Dopiero ostatnie zdanie: „Nikt go nie lubi” wyjaśniło wszystkim, że właśnie chodzi o chłopca „pachnącego czadem”. Ale autor wypracowania napisał o nim dużo dobrych rzeczy, np. że kocha zwierzęta i opiekuje się nimi. Według relacji Pawła w taki właśnie sposób cała klasa „odkryła” tego chłopca i stał się on jakby bliższy, bardziej lubiany.

Paweł zgodził się opowiedzieć o tym w kościele podczas niedzielnej homilii. Obietnicy dotrzymał. Wypowiedzi innych chłopców — ekspertów zostały przeze mnie w homilii wykorzystane.

b. *Wielki problem lizusostwa szkolnego*

Na innym spotkaniu (7. 10. 1976) było pięciu chłopców (z klasy VII, V, IV). Odczytałem im i wyjaśniłem tekst Ewangelii na 29 niedzielę roku. Św. Marek (Mk 10, 35—45) opisuje w tej perykopie petycję synów Zebe-deusza, którzy pragną zajmować prawe i lewe miejsce przy Panu Jezusie, co oburza pozostałych Apostołów. Zapytałem ekspertów, czy na terenie szkoły spotyka się tego rodzaju tendencję wywyższania się nad innych. Krzysiek od razu powiedział: — Oczywiście, „podlizuchów” nigdzie nie brakuje. Tak zaczęło się żywe omawianie wielkiego problemu lizusostwa szkolnego, trwające prawie półtorej godziny.

2. Podczas homilii

Po naradzeniu się z ekspertami można zorientować się, jak problem, który mamy omawiać, lub tekst przewidzianej Ewangelii zarysowuje się w umysłowości dziecka. Ale miałem wtedy do czynienia tylko z kilkoma wybranymi. Teraz idąc nadal w wytyczonym podczas narady kierunku, poszerzam pole widzenia dzięki udziałowi szerszego grona dzieci. „Eksperci” są obecni, ale w zasadzie nie mają zabierać głosu, chyba że brakowałoby chętnych. Punktem wyjścia zwykle będą doświadczenia dzieci, momentem docelowym — słowo Boże.

a. *Dzieci osamotnione — brać w objęcia* (niedziela 27 roku B — Mk 10, 13—16)

Przed rozpoczęciem Mszy św. pytam, które z dzieci kiedykolwiek zostało wzięte w objęcia. Pokazuję to, obejmując serdecznie któregoś z maluchów. Podnosi się wiele rąk. Zapytuję jeszcze: A kto was brał w objęcia? Padają różne odpowiedzi: Mamusia... tatuś... babcia... Wówczas mówię, że coś podobnego będzie i dzisiaj podczas Mszy św. Przewiduję specjalne błogosławieństwo, które nastąpi zaraz po Ewangelii, jako odwołanie do tego, co opisał św. Marek.

Błogosławieństwo może dokonywać się w milczeniu: objęcie dziecka, położenie ręki na głowie, albo znak krzyża na czole itp., zależnie od liczby dzieci. Po błogosławieństwie indywidualnie wyciągnę ręce nad głowami wszystkich na znak ogarniającej ich Jezusowej miłości.

Następnie opowiadam krótko o losie dzieci za czasów Pana Jezusa. Nie miały one żadnych praw, gardzono nimi. W niektórych krajach, jak np. w Sparcie, strącano je ze skały, jeśli były słabe i źle rozwinięte. — A czy dziś nie dzieje się czasami podobnie? — pytam nie oczekując na razie odpowiedzi.

Wyliczam kilka faktów z codziennego życia. Oto dzieci, które nie były spychane ze skały, ale zostały odepchnięte przez kolegów i koleżanki.

W klasie IV był kiedyś chłopiec, który źle grał w piłkę, nigdy nie umiał dobrze odbić. Przez niego chłopcy przegrywali mecze. Nazywali go dlatego „ofermą” i wyśmiewali. Bili go nawet nieraz. Nie umiał się obronić. Czuł się w klasie opuszczony i samotny.

Pewna dziewczynka, gdy była w szkole podstawowej — dziś jest dorosłą kobietą — miała trudności z wymową. Teraz już się wyleczyła. Ale wtedy mówiła niewyraźnie, jąkała się. Dzieci bardzo jej dokuczały. Śmiały się z niej. Dostała silnej nerwicy. Do dzisiejszego dnia nie lubi dzieci, unika ich.

Inna dziewczynka musiała poddać się operacji. Potem miała jedną nogę krótszą. Utykała stale. Otóż jeden chłopiec z niższej klasy przybiegał na przerwy między lekcjami i przezywał ją. Wołał: „Kulas”! i naśladował jej „kuśtykanie” — dla śmiechu. Ta dziewczynka często płakała.

Teraz proszę, by podniosły ręce te dzieci, które znają podobne wypadki ze szkoły czy z podwórka. Kto widział dokuczanie, wyśmiewanie... Kto ma kolegę tak czy podobnie nieszczęśliwego w klasie, w bloku... Podnosi się bardzo wiele rąk.

A teraz niech dzieci, które mogą i chcą, opowiedzą o takim wypadku, oczywiście bez podawania imienia i nazwiska, aby nikomu nie było przykro. Kilko-
ro dzieci opowiada: o dziewczynce, która bardzo wolno ubiera się i pisze, dlatego z niej się wszyscy śmieją, o wykpiwanym grubasie, o dokuczaniu nowemu uczniowi, który przybył ze wsi i mówi nie „po warszawsku”...

Czy tym słabym, prześladowanym dzieciom można dopomóc?

Co uczyniłby Pan Jezus, gdyby znalazł takie dziecko na podwórku, w szkole, na ulicy? On obejmował dzieci serdecznie, bo były takie słabe. A czy wy nie możecie uczynić czegoś podobnego?

I teraz wyliczam kilka faktów okazania pomocy i dobroci. Wszystkie, podobnie jak poprzednie, są autentyczne, uzyskane w rozmowach.

Z jednej dziewczynki wyśmiewali się w klasie: — Proszę pani! Od niej śmierdzi” — mówili. I nikt nie chciał z nią siedzieć w jednej ławce. Ale raz pewna koleżanka usiadła koło niej. I nawet się zaprzyjaźniły. Tamta dziewczynka już nie była samotna.

Na kolonii w tym roku chłopcy z najstarszej grupy zauważyli jednego kolegę, który był bardzo słaby i bał się, by go nie bili. To wystarczyło. Po prostu rozpoczęło się znęcanie nad nim. I tak trwało parę dni. Wreszcie najstarszy z chłopców i zarazem najsilniejszy — syn drwala, który nieraz pomagał ojcu przy rąbaniu drzewa — powiedział: Już koniec tej zabawy! Kto z nim zacznie, będzie miał ze mną do czynienia. Jak bardzo cieszył się biedny, prześladowany chłopiec, że znalazł opiekuna!

Mam „w zanadrzu” jeszcze kilka tego rodzaju faktów, opowiadanych mi uprzednio przez dzieci. Wolę jednak oddać głos moim słuchaczom. Pytam: Czy znacie podobne wydarzenia?

Ponieważ na razie nikt nie odpowiada, zabiera głos Paweł — ekspert i powtarza historię o chłopcu, który pachniał czadem.

Dochodzimy już do szczytowego momentu homilii.

Przypominam o Panu Jezusie, obejmującym dzieci kiedyś i dzisiaj. Zapytuję, co ma to wspólnego z tym wszystkim, co tu było opowiedziane.

Cisza. Wreszcie ktoś mówi: Obejmować takie dzieci, jak Pan Jezus!

Tak — potwierdzam. Ale trzeba je najpierw dojrzeć, a następnie im współczuć.

Do tego zaś konieczne jest dobre serce. Ale Pan Jezus jest w nas... Jakie to szczęście z Nim razem obejmować serdecznie wszystkich smutnych i nieszczęśliwych. Za chwilę pomodlimy się, abyśmy umieli przynieść trochę radości tym, którzy jej nie mają.

b. *Naświetlenie problemu lizusostwa* (niedziela 29 roku B — Mk 10, 35—45)

Dzieci wiedzą już, że zbiera się u mnie grupa ekspertów z różnych klas, aby radzić nad dostosowaniem treści kazań do szkolnego i domowego życia. A więc komunikuję im, że na ostatnim spotkaniu ekspertów, zaraz po odczytaniu Ewangelii z dzisiejszej niedzieli o wywyższaniu się apostołów Jakuba i Jana, jeden chłopiec powiedział:

— U nas też lizusów nie brakuje! Przypuszczam, że nie było słuszne nazwanie tych dwu uczniów Pana Jezusa lizusami. Ale — niech będzie — pomyślimy chwilę właśnie o lizusach. Przede wszystkim: Czy wiecie, kto to jest lizus? Nie trzeba mylić „lizusa” z „lizakiem”. Jedna dziewczynka podnosi rękę: Lizus, to taki, co się pani podlizuje, bo chce być ważny.

A teraz opowiadam fakt lizusostwa, o którym słyszałem od ekspertów. Mianowicie chłopiec z klasy VI — nazwijmy go Lolkiem — dostał dwójkę, bo nie napisał wypracowania. „Pani” każe czytać jego koledze i daje mu czwórkę. Ale Lolek mówi: On przepisywał w łazience podczas przerwy! „Pani” pyta tamtego, który przyznaje się do winy: Od kogo przepisywałeś? Mówi nazwisko kolegi, Wynik: skreślona czwórka. Wszyscy trzej mają dwójki. Po lekcjach przychodzi mama Lolka i pyta, czy dostał dziś jakieś stopnie. Lolek odpowiada, że ma dwójkę, ale zaraz dodaje, że nie tylko on, ale dwóch innych chłopców też. Oczywiście, że było mu raźniej znosić „cierpienie dwójkowe” w towarzystwie. Cała klasa jednak była na Lolka oburzona. Dlatego, że poskarżył na kolegę, a na pewno też chciał się przypodobać „pani”, która właśnie poprzedniego dnia mówiła, że nie wolno od kolegów wypracowań przepisywać. Chłopcy chcieli od razu go za to bić, ale potem zmienili zamiar i postanowili przez pewien czas wcale z nim nie rozmawiać. Bardzo to podobno Lolek przeżywał i po tygodniu był już „nie ten sam”.

Zwracam się do dzieci: Kto kiedykolwiek widział „podlizywanie się”, niech podniesie rękę”. Wznosi się las dłoni.

— A teraz kto z was chciałby może opowiedzieć o takim zdarzeniu. Ale nie trzeba mówić nazwiska, imienia i klasy.

Głos zabiera Jacek: Raz biłem się z kolegą na korytarzu. „Pani” nie widziała, bo była w pokoju nauczycielskim. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego po przyjsciu do klasy kazała nam dać dzienniczki i wpisała uwagi. Potem się dowiedzieliśmy, że dwie dziewczynki widziały bójkę i pobiegły do „pani” poskarżyć. Chciały się na pewno „podlizać”, bo „pani” właśnie przed pauzą mówiła, że nie wolno się bić na korytarzu.

Mówię dzieciom: To było „czarne lizusostwo”, połączone ze skargami na kolegów. A czy bywają wypadki „lizusostwa białego”, tzn. bez szkodenia innym?

Głos zabiera dziewczynka: Gdy ktoś chce dostać dobry stopień, to „skacze koło pani”. Jest bardzo usługowy, nosi za panią zeszyty, pierwszy biegnie po kredę, uśmiecha się mile, mówi przyjemne słówka...

Wtedy przypominam sobie i mówię dzieciom o tym, że pewien chłopiec chciał dostać piątkę z botaniki, a miał czwórkę. Sam mi opowiadał, jak „wychodził ze skóry”, by się pani przymilić. Przynosił jakieś eksponaty botaniczne do klasy, ilustracje itd. Cel swój osiągnął, „wyrobił” sobie piątkę. Ale mówił mi, że już takiej metody nie będzie więcej stosował i chce zdobywać stopnie uczciwie. Dodał, że „wyrósł” z podlizywania. Jego zdaniem lizusostwo jest plagą w klasach niższych podstawówki, potem maleje.

W tym momencie pytam dorosłych, czy w ich świecie spotyka się lizusów.

Zabiera głos jakiś starszy pan: Oczywiście. Nadskakiwanie szefowi, kierownikowi, ma miejsce także w fabryce czy w biurze. Chodzi o premię, o lepsze miejsce w pracy, o awans, a niekiedy o wygryzienie, „podstawienie nogi” koledze.

Po tej wypowiedzi wyczuwam, że lizusostwo, zarówno czarne, jak białe, budzi ogólną odrazę u słuchaczy. Pytam: Kto chciałby być lizusem? Żadna ręka nie idzie do góry. — A kto nie chciałby nigdy się podlizywać? Podnosi się mnóstwo rąk.

Ten, kto „podlizuje się”, dba tylko o własny interes: pragnie dobrego stopnia, względów „pani”, chce być ważny. Koledzy i koleżanki mało go obchodzą; nawet im nieraz szkodzi skarżeniem, dąży tylko do tego, by nad nimi górować.

Miejmy nadzieję, że nikt z nas — dzieci i dorosłych — taki nie będzie. Ale nie wystarczy nie być lizusem. Trzeba stawać się jego przeciwieństwem, czyli „antyлизusem” — innymi słowami dobrym kolegą, dobrą koleżanką.

Pytam dzieci: Czy ktoś z was mógłby nazwać jakiegoś chłopca w swej klasie naprawdę dobrym kolegą, albo jakąś dziewczynkę naprawdę dobrą koleżanką? Kilka rąk w górze.

Na moją prośbę ktoś opowiada o jednym chłopcu, który już wyprowadził się z Warszawy: On nigdy się pani nie podlizywał, a był dobry nie tylko dla swych kumpli, ale dla wszystkich bez wyjątku. Bronił zawsze słabszych, a bawił się z takimi, co nie mieli żadnych kolegów.

Ucieszyłem się tą wypowiedzią. A więc mamy cechy dobrego kolegi: 1) Nie podlizuje się, 2) Dobry i usłużny dla wszystkich, 3) Najbardziej dla słabych i samotnych.

Słuchajcie! Przecież Pan Jezus tak właśnie uczy w dzisiejszej Ewangelii. Oto Jego słowa: „Lecz kto by między wami chciał się stać wielki, niech będzie sługą waszym. A kto by chciał być pierwszy między wami, niech będzie niewolnikiem wszystkich” (Mk 10, 43—44).

Lizus „wysługuje się” pani, bo chce, by ona go potem „obsłużyła”: dobrym stopniem, pochwałą, może przeciągnięciem do następnej klasy. Natomiast dobry kolega oczywiście szanuje „panią”, ale nie dla własnego interesu. On służy **wszystkim**.

A gdyby Pan Jezus dziś, tutaj, w naszej dzielnicy chodził do szkoły i był uczniem np. klasy II czy III, jak by postępował?

Oto co w Ewangelii dzisiejszej powiedział o sobie: „Bo i Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Mu służyło, lecz żeby służyć i dać swoje życie na okup za wielu” (Mk 10, 45).

A nie tylko powiedział, ale i wykonał. Oto teraz jest między nami. Służy nam swoim Słowem, a potem podczas Najświętszej Ofiary złoży za nas okup: swoje Ciało i Krew.

Razem z Nim możemy siebie samych złożyć na służbę Bogu Ojcu i wszystkim ludziom.

Jeszcze rzucam dzieciom pytanie: Być naprawdę dobrą koleżanką, dobrym kolegą — czy to łatwo? Wiele dzieci młodszych woła: Tak, łatwo. — A kto sądzi, że trudno? Niektóre starsze dzieci podnoszą ręce.

Próbuję podsumować: Tak, chyba nieraz łatwo, ale niekiedy trudno. Zwłaszcza wobec kolegów niemiłych, dokuczliwych... Ale będziemy zaraz prosić naszego wspólnego Przyjaciela, Pana Jezusa, o pomoc.

3. P o h o m i l i i

Trwająca około 10 minut homilia dialogowa może nie zapisać się na długo w tak bardzo dzisiaj rozkojarzonej świadomości i pamięci dzieci, mimo że pobudzone one zostały do aktywności. Jej podstawowe myśli

powinny jeszcze dłuższy czas wpisywać się w różnorodność dziecięcych konkretów życiowych. Zaraz więc po Mszy św. stać przed kościołem lub w przedsionku, by wysłuchać od młodych uczestników Liturgii zwierzeń na omawiany temat, których nie wypowiedzieli podczas homilii ze względu na swą nieśmiałość czy brak czasu. Dowiaduję się niekiedy bardzo ciekawych faktów z życia domowego i szkolnego.

Ale temat homilii powinien powrócić jeszcze przynajmniej dwa razy: w domu oraz podczas najbliższej katechezy. Dlatego proszę, by rodzice i katecheci byli obecni wraz z dziećmi podczas Mszy św. nie dla kontroli, czy wszystko one zapamiętały, lecz aby móc kontynuować dialog.

W ten sposób dorośli poznają dziecięce doświadczenia życiowe i są w stanie pomóc w ich naświetleniu. Ponadto powinni naradzić się wraz z dziećmi, jak wcielać w życie podane w niedzielę wskazania ewangeliczne. Tak więc np. może być rewelacją dla rodziców, że w otoczeniu syna czy córki nie brak kolegów, którzy są „kozłami ofiarnymi” całej klasy. Jak przyjąć im z pomocą. Wszzechstronniejsze doświadczenie dorosłego trzeba sprzęgnąć z bardziej konkretną orientacją, którą posiada dziecko we własnym terenie klasowym. Dzięki takiemu dialogowi w rodzinie i podczas katechezy dorośli i dzieci uczą się wzajemnie chrześcijańskiego stylu życia.

Podane wyżej uwagi oraz próbka homilii dialogowych stanowią zaledwie sygnalizację problemu. Autor będzie wdzięczny za krytyczną ocenę materiału i za wszelkie z nim związane refleksje. Listy można kierować na adres Redakcji.

DIE ROLLE DER KINDER IN DER DIALOGPREDIGT

Z u s a m m e n f a s s u n g

Es wird immer häufiger festgestellt, dass die traditionellen Predigten in das Bewusstsein der Kinder fast nicht eindringen. Eine der Ursachen liegt in den schnellen und bedeutsamen Änderungen, die gegenwärtig alle Gesellschaftsgruppen erfassen, also auch die jüngere Generation. Unter diesen Umständen wird man im Dialog die für das gegenwärtige Kind geeignete homiletische Methode finden können. Denn die alltäglichen Beobachtungen zeigen, dass die Kinder immer häufiger die Sprache der erwachsenen Menschen verwenden, gern ein Gespräch mit Erwachsenen führen und sie verspüren auch das Bedürfnis nach diesem Kontakt.

Es besteht jedoch ein Unterschied zwischen dem technischen und dem wirklichen Dialog, der nur dann stattfindet, wenn sich die Partner in ihrem Wesen gegenseitig kennenlernen und wenn sie sich um gegenseitige Beziehungen bemühen.

Unser Dialog würde 3 Phasen umfassen: a) Vor der Predigt — das Gespräch soll gemeinsam mit einigen Kindern als „Experten” vorbereitet werden. b) Während der Predigt — nicht nur die „Experten”, sondern alle Kinder dürfen sprechen. c) Nach der Predigt — das Thema der Predigt soll noch zu Hause und während der nächsten Katechese aufgegriffen werden.